



dusza mówi własnym językiem...

rozmawiał: Paweł Kawatek
zdjęcia: Tatiana Jachyra

Aktor teatralny i filmowy. Poeta i prozaik. Początkujący reżyser. Wnikliwy obserwator rzeczywistości. **Krzysztof Pieczyński, jakiego być może nie znałicie wcześniej...**

Na ekrany kin trafił kolejny film z Pana udziałem – „Sala samobójców”. To dość nowatorska produkcja. Pierwszy polski film łączący świat realny i animację 3D. Co sprawiło, że zechciał Pan wziąć w nim udział?

Animacja to tylko dodatek. W tym filmie zajmujemy się światem prawdziwym, a to, że pojawia się tam świat sztuczny, jest wynikiem tego, że świat realistyczny ma pewną pustkę, którą główny bohater chce wypełnić. Zresztą, na dobrą sprawę, wszyscy bohaterowie tego chcą. Animacja mnie jako aktora w tym filmie aż tak nie interesuje, choć oczywiście nie można odmówić komplementów jej twórcom, którzy zrobili ją bardzo dobrze. I chwala im za to. Moja decyzja była oparta na scenariuszu, który był bardzo ciekawy. Od początku wiedziałem, że Janek (Jan Komasa – reżyser filmu – przyp. red) jest inny od znanych mi dotychczas reżyserów. Czułem, że niezłe namiesza i wyjdzie ze swoją twórczością poza Polskę...

Jakie jest przesłanie filmu?

Opowiada o rodzinie, która nie ma kontaktów z synem. Na pewno nasz cel zostanie osiągnięty, jeżeli zdarzy się, że wśród widzów ktoś spojrzy w lustro i powie: „Kurczę, ja za bardzo jestem podobny do tych starych z filmu. Chyba muszę przemyśleć sobie pewne sprawy”. Pewnie nigdy się o tym nie dowiemy, ale takie szlachetne pobudki często towarzyszą nam w pracy.

Co Pan myśli o wirtualnej rzeczywistości?

Z pewnością jest wciągająca i uzależniająca. To swoisty obraz epoki. Wszystko zaczęło się od teatru – jeszcze w Antyku, kiedy to widza od aktora dzieliło kilkadziesiąt metrów. W pewnym momencie teatr przeszedł takie przeobrażenie, że widowie siedzieli na podłodze obok aktorów, a nawet aktorzy zaczęli grać między nimi – będąc coraz bliżej. Potem kino przybliżyło sprawę. Następnie pojawiła się telewizja, która skróciła dystans,

a potem internet, przełamujący kolejne bariery, bo mamy ekran tuż przed twarzą. Następny krok, jaki ludzkość zrobi według mnie, to taki, że twórcy świata wirtualnego będą chcieli wejść od razu do środka – bez ekranu. Tak, by widz nie musiał na nic patrzeć. Aby ten obraz był wewnętrzny. Myślę, że to niebawem się stanie, choć nie wiem, jak będzie to wyglądać technologicznie. Jednak jest to przyszłość tego medium.

Internet może działać na to, co i jak myślimy, ale przecież nie zastąpi relacji z człowiekiem z krwi i kości...

To jest tylko obraz dzisiejszego świata, ale problem jest odwiecznie ten sam: czego potrzebujemy, by wypełnić pewną pustkę, którą odczuwamy, i jak człowiek potrafi manipulować swoim życiem, żeby nie zobaczyć przyczyn tej pustki? Co zrobić, by nie cierpieć, by nie odczuwać bólu w swoim życiu? To tak, jak z pigułką uśmierzającą ból, która działa tylko przez moment, a później ten ból

Krzysztof Pieczyński: wegetarianin, aktor teatralny i filmowy. Popularność przyniosły mu role w serialach („Dom”, „Życie Kamila Kuranta”, a po latach „Na dobre i na złe”). Grał nie tylko w polskich filmach. Wystąpił u boku takich tużów jak Paul Newman, Keanu Reeves, Morgan Freeman, John Cusack, Natasha Richardson. Píše i od niedawna reżyseruje.

wraca. Podobnie jest ze światem wirtualnym. Dzisiaj wygląda to tak, za czasów mojej młodości wyglądało inaczej, ale mechanizm jest ten sam. Nie jestem przywiązany do internetu. Spędzam tam najmniej czasu, jak to tylko możliwe, ale rozumiem jego siłę i możliwość uzależnienia.

Jaka jest definicja wymarzonej roli dla aktora?

Są różne definicje. Według mnie każda rola, która jest rzeczywiście wyzwaniem, dająca szansę na to, by wszystko odłożyć na bok, by wejść w temat. Jest ona czymś, na co z jednej strony aktor czeka, a z drugiej – co od siebie odsuwa, bo wie, ile wysiłku będzie go to kosztować. Wybrałem takie życie, w którym podtrzymuję swój głód, sztucznie. Najczęściej przez odmawianie pracy. Po to właśnie, żeby znaleźć pasję, kiedy przyjdzie ta dobra praca, i umieć zmusić się do tego wysiłku. I tak było z „Salą Samobójców”. Poprzednia rola, w której poczyniłem taki wysiłek, to była rola w teatrze telewizji „Fryzjer”.

Według jakiego klucza dobiera je Pan?

Nie dobieram ról. Ja tylko mówię, kiedy nie chcę grać, bo mam jeszcze parę groszy na życie. A jeśli nie mam, to gram. Odmawiam, jak długo się da, bo na przykład nie podobają mi się propozycje. Bywa, że czasem po prostu trzeba zagrać, mimo wszystko. Nie jestem z tego dumny, ale niezależnie od tego, jaką pracę wykonuję, jaka jest przyczyna, motyw tego, że idę do pracy – zawsze jestem przygotowany i robię to najlepiej, jak umiem. Nie jestem już w stanie, po 100 rolach w każdej z nich dać z siebie wszystkiego, ale pewną rzetelność zawodową mam.

Szerokiej publiczności przypomniał Pan o sobie dzięki serialowi

lowi telewizyjnemu. Mówi się, że serial dla aktora to możliwość szlifowania warsztatu, ale także ryzyko zaszufłakowania. Jak się temu nie dać? Nie zostac twarzą przechodnią seriali.

To rzecz bardzo indywidualna, kto jakie życie wybierze. Czy wybierze życie trudne czy łatwe. Ja wybrałem trudne i wszystkie tego konsekwencje ponoszę. Jeśli ktoś wybierze życie łatwe – też poniesie konsekwencje tego życia, to znaczy po chwili nie będzie miał siły grać dramatycznych ról. Po prostu będzie wypłukany z głębi, ze skrajności. Skrajności zostaną mu odcięte i nie będzie potrafił przywołać tych wysokich emocji! Nie tylko w Polsce. W Ameryce aktorzy serialowi też nie umieją potem grać w filmach fabularnych, bo nie mają siły. Zostały im odcięte czułości wrażliwości.

Być może nie wszyscy wiedzą, że oprócz bycia aktorem jest Pan także poetą i prozaikiem. Owoce tej pasji jest kilka tomików. Jeśli słowo jest obrazem duszy, to widać obraz bardzo wrażliwego człowieka...

Piszę rzeczy stosunkowo trudne i moje książki nie sprzedają się w dużych nakładach, ale mam swoich czytelników – taką garstkę ludzi, którzy cenią to, co piszę, i czekają na następną książkę. Mam już nawet kolejną i planuję ją wydać. To bardzo ważne w moim życiu. Trafnie określa to stwierdzenie Rilkego, który powiedział kiedyś młodemu pisarzowi: pisz tylko wtedy, kiedy musisz – i tak też jest ze mną. Piszę, kiedy muszę i to, co muszę. Nie mam ciśnienia, by wydać książkę w tym roku lub co rok. Chciałbym, żeby ludzie czytali to, co piszę, i żeby im służyło. Dzięki temu, że to, co robię, służy innym, mój cel jest spełniony. Moje życie jest po coś. Mimo że nie jest to najłatwiejsza lektura, jestem przekonany, że wiele osób

znajdzie w niej coś, co nawet mnie zaskoczy... Na tym polega cała uroda tego wszystkiego.

Wyrazisty aktor, wrażliwy poeta, a jaki jest Krzysztof Pieczyński – reżyser?

Tego jeszcze nie wiem. Jestem przed debiutem fabularnym. W dwóch półgodzinnych filmach, które nakręciłem do tej pory – „Spotkanie” i „Brakujące słowo” – starałem się po prostu być dobrym dla aktorów. W większości byli to ludzie, którzy nie są zawodowymi aktorami, dlatego moim zadaniem było stworzenie takich warunków, żeby nie czuli się skrępowani. Nauczyłem się też, jak ważna przy filmie fabularnym jest więź reżysera z operatorem. Od tego przecież zależy cały nastrój filmu. Kamera rejestruje energię, jaka jest w ludziach. Pomyłka w obsadzie operatora może być równie tragiczna w skutkach, co pomyłka w doborze głównego bohatera. Szok przejścia z jednej strony kamery na drugą jest tym większy, że wtedy włącza się świadomość odpowiedzialności za wszystkie detale, za pieniądze pozyskane na dany projekt. Człowiek myśli, jak to zrobić, żeby nie zawieść tych, którzy mu zaufali, nie zmarnować tego, co od nich dostał. Tak naprawdę nie interesuje mnie dokument jako taki, choć filmy, o których wspominałem, są w konwencji dokumentu. Interesują mnie sprawy w nim poruszone. Nigdy nie miałem ambicji, żeby robić dokumenty. Mnie interesuje, żeby powiedzieć to, co mam do powiedzenia...

Co chciał Pan opowiedzieć, pokazać przez te filmy?

To filmy o obecności w naszym życiu niewidzialnego świata, który komunikuje się z nami. Tej rzeczywistości, która jest gdzieś obok. Nazywamy ją rzeczywistością duchową. O tym,





jak ona do nas przemawia, ukazując nam pewne symbole, wylaniając z wszechrzeczy jedną rzecz. Kiedy dusza robi coś takiego, zmusza nas do zastanowienia się, co to znaczy? I zaczyna nas prowadzić. Wprowadzać w swój język. Dusza mówi innym językiem niż rozum. Te filmy są właśnie o tym. Swoje fabuły i inne rzeczy też chcę temu zadedykować.

W „Dzieciach Ireny Sendlerowej” zagrał Pan po angielsku, a potem nagrał polską wersję językową. Czy łatwo jest oddać w studiu emocje, które towarzyszyły aktorom na planie, gdy robi się to już po odegraniu roli?

To część naszego zawodu. Trzeba włożyć w to trochę energii, ale podsynchron zawsze zabiera wiarygodność. Dużo. Jeśli zabierze jej 10–15 proc., to bardzo dużo. Wie Pan, takich rzeczy, które są w życiu, nie da się odtworzyć w skali 1:1. Człowiek się zakrztusił, przełknął ślinę, coś powiało, nagle się obejrzał, odwracając się czy odchodząc od mikrofonu. Tego nie da się imitować w „pudełku”, w którym nagrywamy.

Podsynchron zawsze zabiera prawdziwość scen. Nie da się tego poprawić. Chyba że jest całkowita, totalna „kaszana”. Ale jeśli jest to zagrane co najmniej przyzwoicie, to na podsynchronach tylko pogorszymy. Dlatego są one koniecznością w sytuacjach, w których nie ma wyjścia. To nigdy nie odda prawdziwego życia – jak wtedy, gdy obok jest żywa partnerka lub partner, całe te emocje... Po prostu się nie da.

Co czyni rolę ciekawą?

Są różne definicje. To jest troszeczkę jak z poezją. Jak rozpoznać, czy ten wiersz jest dobry czy zły? To bardzo osobiste i dość subtelne. Kino idzie w tym kierunku, by jak najlepiej imitować życie. Bo przecież sztuka zajmuje się imitowaniem, aczkolwiek jest dziedziną twórczą. Na tym polega jej paradoks. Próbuje jak najbardziej imitować życie, tworzy samoistne arcydzieło. Odpowiem na przykładzie. Nie lubię Kate Winslet i innych aktorów tego typu. Oczywiście, cenię ich, podziwiam i jak mało kto mam świadomość ich kunsztu. Wiem dokładnie, co robią, skąd wychodzą i jaką cenę płacą za swoją perfekcyjność.

Ale dla mnie perfekcyjny obraz musi mieć wadę – dopiero wtedy jest głęboko ludzki.

Jest taka opowieść o pewnym japońskim malarzu, który malował obrazy w duchu Zen. Ten malarz był doskonały. To, co robił, było doskonałe i w zgodzie z całym alfabetem i całą księgą najdrobniejszych przepisów, które należało spełnić. Pośród harmonii, jaka wynika z obrazu, pomiędzy ziemią, bambusami, wszystkimi zaokrąglonymi motywami roślinnymi, niebem, wodospadem, który musi być, jest plama. Ni przypiał, ni przylatał. Ta plama to w pełni świadomy akcent malarza. Akcent niedoskonałości. Widz musi mieć odpoczynek i swoją niedoskonałą naturę musi odnaleźć w obrazie. Jeżeli obraz jest na wskroś doskonały, widza to odpycha, ponieważ czuje się wtedy jeszcze bardziej ułomny. Malarze azjatyccy dbają o to, aby widz mógł odnaleźć siebie. Dlatego kiedy widzę perfekcyjne aktorstwo, to we mnie budzi ono niepokój. Nie dowierzam takim ludziom. Patrząc na takiego aktora, widzę, ile on rzeczy ukrywa o sobie. A chciałbym, żeby wniósł tę białą plamę do swojego aktorstwa. Żeby pokazał swoją niedoskonałość. Wtedy mam z nim moją ludzką relację i to jest relacja miłości. Miłość wlicza niedoskonałość. Aktorki pokroju Kate Winslet eliminują ją ze swojego aktorstwa i przez to nie mogą ich strawić. To jest w jakimś stopniu chorobliwe. Nie jest to ludzki wymiar aktorstwa. To choroba ukrywania tego, kim jest. Ludzie się boją tego, kim są. Do tego stopnia, że tworzą perfekcyjne portrety ludzkie – cokolwiek to jest.

A gdyby miał Pan zacząć wszystko od początku? Poszedłby Pan tą samą drogą, czy coś zmienić?

To pytanie wysoce hipotetyczne. Niemniej często się powtarza. Ludzie zadają je sobie, bo widocznie jest w nim jakiś sens. Odwołuje się ono do tego, czy błędy, które popełniłem, chcę popełnić jeszcze raz. Wszystko, co nam się przydarza, czemuś służy. Istota wyższa, w którą wierzę, nie osądza nas za jakiegokolwiek z popełnionych błędów. W związku z tym można powiedzieć, że wszystko, co się w naszym życiu wydarza, jest doskonale. Co wcale nie znaczy, że mamy nic nie robić, żeby ten świat był lepszy. W człowieku są w sposób naturalny zapisane prawa. Każdy nosi je w sobie. Każdy powinien znaleźć własną drogę, żeby te prawa poznać. Pomyłki, które się nam zdarzają, są krokami, które zbliżają nas do poznania tych praw. Ponieważ w człowieku jest zapisana również wieczność, to istnieje w nim mechanizm, który nieustannie zmusza go do poznania tej wieczności. Tego nie uda się z nikogo wydrzeć. Pragnienie stania się wiecznością jest w człowieku zbyt potężne, żeby można było ten płomień zgasić. Poza tym, wybrałem już – jestem pisarzem, poetą i reżyserem. I będę się tego trzymał.

Jest Pan wegetarianinem?

Tak, ale nie lubię o tym mówić za dużo, bo uważam, że nie możemy tworzyć religii z każdego elementu naszego życia. Chodzenie po ulicach i głoszenie, że jest się wegetarianinem, katolikiem, chrześcijaninem

czy kimkolwiek innym, nie ma sensu, bo tak naprawdę interesuje mnie to, czy jesteś kimś, z kim się mogę dogadać, a nie to, co poprzedza twój -izm. Takie rzeczy nie interesują cywilizowanych ludzi. Nie stajemy się przez to ani głębszymi, ani lepszymi, ani mądrzejszymi ludźmi, więc po co się z tym obnosić? To, jaką filozofię się wyznaje, jest najmniej ważne w kontaktach z innymi.

Jak Pan sobie radzi, kiedy nie ma zbyt wiele czasu, a chwytają głód?

Chadżam do knajpek wegetariańskich, np. do Greenway'a. Kiedy nie ma niczego takiego pod ręką, jem cokolwiek, co nie jest mięsem. W sumie odczuwam nieustanny brak ziemniaków. Jest ich mało w restauracjach wegetariańskich. I czuję brak skrobi.

Może więc trzeba im to uświadomić?

Robię to od dwóch lat. Pojawiała się co prawda zapie-

kanka ziemniaczana, ale tylko raz na dwa tygodnie. Najlepsze danie. Ja bym tę zapiekankę jadł u nich trzy razy w tygodniu. Ale i tak jest lepiej. Kiedyś serwowano ją raz na miesiąc. Nie ma też kapusty kiszzonej, co jest według mnie błędem. Biała kiszona kapusta, mimo, że jest dość siermiężnym daniem, wzmacnia człowieka. Jest ciężka, a żołądek musi trawić. Pokonuje przeszkody i jest zmuszony do pracy. Dla w miarę zdrowego żołądka kiszona kapusta jest bardzo dobra, myślę sobie...

Co Pana ostatnio urzekło, zdziwiło, zaskoczyło?

Znalazłem mojego misia z dzieciństwa, którego przecho-wuje moja mama. Ten misio ma 50 lat. To jest taki misio, jak te buty Van Gogh'a (obraz „Para butów”, nawiązujący według specjalistów do ciężkiego życia robotników lub samego malarza – przyp. red). Popatrzyłem na tego misia i prawie się rozplakałem. Co ciekawe – on też jest wegetarianinem... »«

zdjęcia dzięki uprzejmości:

forum
Polska Agencja Fotografów

